

Tradycja

Fragment książki *Wstyd,
dzieciństwo, czas...
Antropologia historii**

Ma Wercyngetoryks we Francji kilkanaście pomników, z czego najokazalsze w Alise-Sainte-Reine i Clermont-Ferrand, oraz trudną do policzenia ilość ulic, alej, placów, skwerów swojego imienia. W Paryżu ma swoją ulicę w XIV dzielnicy. Na najbliższych przedmieściach: bulwar w Argenteuil, aleje w Aulnay-sous-Bois, plac w Champigny-sur-Marne, ulice w Eaubonne, Houillies, Jouvisy-sur-Orge, Vitry-sur-Seine... Kim był Wercyngetoryks (ok. 72-45 p.n.e.)? – Galem z plemienia Awernów, czyli mieszkańców dzisiejszej Owernii. Pochodził z rodziny arystokratycznej – był synem Celtillusa (taką wersję imienia przekazali nam Rzymianie) i w roku 52 p.n.e. stanął na czele antyrzymskiego powstania, które zgromadziło znaczną ilość galijskich rodów. Miał niezwykle szczęście, gdyż jego przeciwnikiem był sam Juliusz Cezar, równie wielki polityk jak pisarz, który uwiecznił go w *Commentarii de bello gallico*. Odtąd też każde dziecko uczące się na pamięć, iż „*Gallia est omnis divisa in parte tres...*”, już w następnych wersach spotkać musiało romantyczną sylwetkę bezwzględnie celtyckiego wojownika. Dzieje powstania są barwne. Nie brak w nich nagłych, karkołomnych zmian sytuacji, a samo oblężenie Alezji, które okazało się zgubne dla Wercyngetoryksa, stało się na tysiąclecie natchnieniem dla pisarzy i poetów wysławiających tego, który w imię wolności poświęcił życie i bogactwo całego bez mała narodu, a sam utopiony został w Tybrze przez nieublaganych ciemężycieli. Nie malownicza epopeja nas jednak obchodzi. Był Wercyngetoryks Celtem, Galem, z tych właśnie Galów, którzy po upadku powstania „we wszystkim starają się naśladować zwycięzców: budują takie jak oni miasta, uprawiają rolę na sposób rzymski, zakładają sady i winnice, a w rzemiośle skutecznie rywalizują z wytwórczością Italii. Przez 300 lat będzie Galia jedną z najbardziej aktywnych zachodnich prowincji świata rzymskiego. U Galów rzymskich nie odnajdujemy już ani tej ciekawości świata, ani tej oryginalności, czasem manierycznej, dziwacznej, czasem nawet ożywianej trochę szaloną fantazją, które podnosiły wartość sztuki celtyckiej. Galia jest już tylko jedną z wielu rzymskich prowincji. Stała się na wskroś rzymska, do tego stopnia, że zarzuciła swój język i dobrowolnie przyjęła sposób życia i myślenia właściwy światu śródziemnomorskiemu. Sto lat po podboju wysłała do Rzymu senatorów. Dała mu też mistrzów słowa. Rytuliusz Namacjanus, poeta pochodzenia galijskiego, żyjący u schyłku cesarstwa, jest autorem jednej z najpiękniejszych definicji patriotyzmu rzymskiego: *'Fecisti patriam diversis gentibus unam'* ('Dla najróżniejszych narodów wspólną stałeś się ojczyzną'). W V wieku, niedługo przed Chlodwigiem, galijscy możnowładcy, tacy jak biskup Sidonius Apollinaris (biskup Clermont, żył ok. 431 – ok. 478, znany jako autor *Pieśni*, a przede wszystkim listów przynoszących bogaty materiał historyczny – LS), byli typowymi Rzy-

mianami swoich czasów.” (Albert Grenier, *Historia Galów*, Gdańsk-Warszawa 2002).

Dodajmy od razu, że ów Chlodwig (466-511), który pojawia się na scenie dziejowej niedługo po Sidonie i który uchodzi za założyciela państwa francuskiego, był wnukiem Merowiusza, czystej krwi Germaninem z plemienia (ludu) Franków Salickich, nie miał więc nic wspólnego z Celtami, a i z Rzymianami niewiele. Z germańskiej dynastii Merowingów wyrastają, tak to przynajmniej, acz – Krzysztof Pomian ma rację – z ideologicznych powodów ustalili historycy, Karolingowie, z nich z kolei Kapetyngowie, czyli *mutatis mutandis* monarchia francuska, aż po Ludwika Filipa, czy obecnych pretendentów do tronu: księcia Paryża i Ludwika XX (Thierry Ardisson, *Louis XX, contre-enquete sur la monarchie*, Paris 1986). Żadna z tych dynastii nie miała, powtórzmy to, z Galami nic wspólnego. Jeżeli można mówić (co jest przedmiotem zajadłych dyskusji) o celtyckich pozostałościach w langwedockiej kulturze d'oc aż po XIII w., i one zostały starte z powierzchni ziemi przez rycerzy Ludwika VIII Lwa i Ludwika IX Świętego. Gdzież więc owe galijskie korzenie Francji? Albert Grenier uderza w tony wręcz liryczno-metafizyczne (choć złośliwy mógłby powiedzieć, że i niepokojąco bliskie argumentów rasistowskich), pisząc, w czym zresztą zaprzecza całemu swojemu uprzedniemu wywodowi: „Kłęska militarna Wercyngetoryksa wstrzymała oryginalny rozwój Galii i spowodowała utratę politycznej autonomii na całe wieki; ale rzymski potomek nosił w sobie galijskie geny. (...) Dlatego właśnie Galowie mogą być uważani za naszych przodków, a ich historia za początek naszej”. Trudno to wziąć na serio, tym bardziej że na Franków spuścił Grenier beztróską zasłonę całkowitego przemilczenia. A jednak... zdanie „*Nous les Gallois*” wygłasza znaczna, jeśli nie przeważająca część Francuzów z najgłębszym i niepodlegającym kontestacji prze-

* Jest to fragment książki, która ukaże się nakładem wydawnictwa „Sens”. Redakcja składa serdeczne podziękowania Pani Ewie Katarzynie Kalinowej i autorowi za zgodę na publikację.

naniem. Apoteozę tej przybranej tożsamości odnajdziemy w serii komiksów Rene Gościnnego i Alberta Uderzo o przygodach Gala Asteriksa.

Jest to kpina, pastisz z domieszką surrealizmu. Ograniczmy się, pisałem już o tym (Ludwik Stomma, *Z owsa ryż*, Warszawa 2003), do samej onomastyki. Główni bohaterowie to Astérix (od Aster – gwiazdy, gwiazdy filmowej, głównego bohatera porostu), Obélix (obelisk), Panoramix, Assurancetourix (od *assurance tous risques* – kompletnego ubezpieczenia samochodowego), pies Astérikxa – Idéfix (*idée fixe* – idea prześladowcza, zwariowany pomysł stale zaprzatający myśli)... Obozy rzymskie wokół ojczyznianej „wiośki galijskiej”, to Petibonum (Małodobrze) Laudanum (Chwalipiętowo) i zgoła Aquarium. Francuzi czytają, zaśmiewając się, gdyż mają dystans do swojej historii. Ale właśnie, nie zmienia to, lecz utrwala przekonanie, że jest to ich historia. Francja, rzecz to dosyć wyjątkowa, nie ma oficjalnego herbu na kształt polskiego orła białego. Jego funkcje pełni najczęściej (obok Mariany, czapki frygijskiej czy rewolucyjnych różg liktorskich) przede wszystkim kogut galijski (*le coq gallois*) wypuszczany na boisko przed każdym meczem reprezentacji państwowej, czy to grającej w piłkę nożną, czy w rugby. Symbol koguci został niejako narzucony Galom przez Rzymian, na skutek bliskości fonetycznej. Kogut, to po łacinie *gallus*. używali oni tego zestawienia, niekiedy w sensie pozytywnym, jak Juliusz Cezar przyrównujący odwagę Galów do determinacji kogutów broniących piskląt, częściej w negatywnym, jak Swetoniusz, który ośmieszając głos Nerona, jako „pianie koguta”, dodaje, że owo pianie „jedynie ciemnym kogutom-Galom mogłoby się spodobać” (Michel Pastoureau, *Les emblemes de la France*, Paris 2001). Skojarzenie to upowszechnia się szeroko w czasach rzymskich. Już we wczesnym średniowieczu jednak kogut zostaje zdegradowany. Święty Izydor z Sewilli (Isidorus Hispalensis ok. 560-636) autor słynnych *Etymologiae sive. Originum libri XX* („Dwudziestu ksiąg pochodzeń, czyli Etymologii”) niekontestowany ojciec średniowiecznej etymologii, w bardzo skądinąd skomplikowanym wywodzie, wyprowadza nazwę koguta od kastracji, która zmienia go w kapłona. Etymologia ta, przejęta przez licznych autorów, będzie przez długie wieki obowiązująca. Nic dziwnego, że w tej sytuacji nikt nie chce się wiązać z impotentem i ośmieszającym kogucim symbolem. Skojarzenie Gal – Gallus (kogut) przypomni dopiero antyfrancuska propaganda angielska i niemiecka (cesarska) w XII wieku. Król Francji rządzi na koguciej ziemi jest więc, jak to koguty, krzykliwy, kłótniwy, pyszałkowaty, podejmujący inicjatywy, które „z braku męskości” skazane są z góry na przegraną. Jest paradoksem – zauważa Michel Pastoureau – że owe pierwsze «kogucie» pamflety wymierzone były w Ludwika VII i Filipa Augusta, czyli akurat królów, którzy uznali oficjalnie za symbol

Francji kwiat lilii wywodzący się z ikonografii chrześcijańskiej i z Galami niemający nic wspólnego. Jest to również epoka, w której nowofrancuskie *coq*, zaczyna wypierać postłacińskie *jal* na określenie naszego ptaka, kiedy więc właśnie skojarzenie go z Galami staje się dla mieszkańców Francji coraz mniej zrozumiałe. Cóż więc tłumaczyć może fakt, że w końcu XIII wieku powracają nagle triumfalnie i kogut, i miraż dziedzictwa po Wercyngetoryksie? – Powody są ściśle polityczno-ideowe. Potężniejąca Francja zaznaczyć chce swoją niezależność zarówno od papieża (tradycja łacińsko-rzymska), jak i Cesarstwa (tradycja germańska). Dla potrzeb zaznaczenia odrębności następuje więc wskrzeszenie Galów i pamięci o nich. Galów niezależnych i niepodległych, tych sprzed podbojów Juliusza Cezara. Że byli poganami? – To w tej chwili nieważne. Nie ma tu nic spontanicznego. Jesteśmy w obliczu przemyślanej i konsekwentnej machinacji historyczno-polityczno-ideologicznej. Zestaw doktryn podważających zależność Kościoła francuskiego od Rzymu nazwany zostaje przez profesorów Sorbony, po długich deliberacjach przynoszących honor ich znajomości kultury antycznej „proklamacją swobód gallikańskich” (1407). Kości zostały rzucone. Zaraz pojawi się „gallikanizm polityczny”, ustalone zostanie pochodzenie Galów od Trojan etc. Niech sobie nieprzyjaciele kpią z kogutów. My właśnie będziemy się nimi szczycić! Karol VII (panowanie 1422-1461), Karol VIII (1483-1498), Ludwik XII (1498-1515) nadają sobie w dokumentach przydomek „Gallus”, równoważny z kogutem. Franciszek I (panowanie 1515-1547) opłacił – pisze Pastoureau – „istny program rehabilitacji galijskiego koguta. Ma on być symbolem przenikliwości, godności, odwagi, być powiązany ze słońcem, z Marsem i z Merkurym. Specjaliści od mitologii, astrologii, historii i archeologii zobowiązani zostają do odnalezienia wszystkich danych świadczących o dominującej roli koguta w naturze i kosmosie”. Tak namaszczony Gal-kogut powraca do narodowej emblematyki. Oto awers medalu wybitego w 1601 dla uczczenia narodzin delfina – przyszłego Ludwika XIII. Na otoku napis: *Regnis natus et orbis*. Pośrodku gołe dzieciątko trzymające w ręku kwiat lilii. Przed dzieciątkiem, jakby wychodzący na jego spotkanie, kogut. Jeszcze niewielki, z zamkniętym dziobem. Ale to się za chwilę zmieni. Już w dekoracjach pałacu wersalskiego koguty strzegące kwiatów lilii będą potężne, bojowe i majestatyczne. Charles Le Brun, który projektował płaskorzeźby i stiuki, dostał w tej mierze kategorię dyrektywy Ludwika XIV. Prawdziwy triumf przeżywa jednak kogut dopiero w czasach rewolucji. Łączy bowiem w sobie i ciągłość państwa, i tradycję antymonarchiczną (toż Wercyngetoryks walczy z Juliuszem, który został cesarzem-krwio pijcą i aspekt ludowy koguta z podwórka). „W 1790 – raz jeszcze odwołajmy się do Michela Pastoureau – Zgromadzenie Narodowe

przyjmuje wniosek, żeby oficjalnym godłem Republiki został kogut siedzący na szczycie sankiulockiej piki, ze skrzydłami rozpostartymi, jakby szykował się do boju. Na dole dewiza: *Canat expugnatque vicissim* («Na przemian śpiewa i rwie się do walki»). Projekt ostatecznie nie został przyjęty, kogut znalazł jednak miejsce na monetach, pieczęciach i sztandarach. Wraz z nim galijskie korzenie. Apoteoza Galii jako pierworodnej ojczyzny osiągnie potem swoje ekstatyczne szczyty podczas pierwszej wojny światowej, kiedy jakiekolwiek germańskie odwołania stawały się bez mała zdradą narodową.

Powstaje oczywiście w tym momencie pytanie: co zrobić z samą nazwą „Francja” odnoszącą się nie tylko do dziejów niegalijskich, ale wręcz do Galów – wrogów i prześladowców? W szkolnych podręcznikach historii pojawia się „Francja” *deus ex machina*: „Przed dwoma tysiącami lat Francja nazywała się Galia. Potem zmieniła imię i nazywa się Francja”. Albo: „Karol Łysy panował” nad większą częścią Galii. Jego królestwo nazywało się Francja”, czy jeszcze: „Potomkowie Karola Wielkiego podzielili między siebie cesarstwo. Jeden z nich objął władzę nad krajem, który nazwano Francja”. Żaden z podręczników nie wspomina, choć byłoby to wysoce wychowawcze, że Frankowie tłumaczy się na „ludzie wolni”. Bo tłumaczy się wprawdzie dumnie, ale ze starogermańskiego... Suzanne Citron (*Le mythe national – l'histoire de France en question*, Paris 1987) wykazuje, że właściwie, aby całkowicie przemienić historię narodową i dostosować ją, jako „odwieczną tradycję” do potrzeb ideologiczno-politycznych, nie trzeba nawet uciekać się do fałszu. Wystarczy jedno fakty opatrzyć dogodnym komentarzem, inne zaś pozostawić same sobie. Galia zmieniła nazwę i nazywa się Francja. Czy naprawdę wiele jest tych nietaktownie dociekliwych osób, które zapytają się: dlaczego?

Uwagi Suzanne Citron nie stosują się bynajmniej tylko do historii Francji. Przenieśmy się do Polski. W roku 1036 mają tu miejsce niepokojące wydarzenia. Na skutek „reakcji pogańskiej” wnuk Bolesława Chrobrego, syn Mieszka II i Rychyzy – książę Kazimierz – przepędzony zostaje z kraju, w którym następuje zupełny chaos, pognębiony jeszcze najazdem czeskim w 1033. Rzecz kończy się jednak happy endem. „Kazimierz Odnowiciel (to dumne miano dostał właśnie dlatego – LS) z drużyną liczącą 500 rycerzy, zwerbowaną w Niemczech dzięki pomocy matki Rychyzy i króla Niemiec Henryka III, zaniepokojonego wzmocnieniem swojego czeskiego lennika Brzetysława, powrócił do kraju, zajął Wielkopolskę i Małopolskę...” (*Kronika Polski* Pod redakcją Andrzeja Nowaka, Kraków 1998). „Sam książę Kazimierz powrócił wraz z polsko-węgiersko-niemiecką drużyną 500 wojów do Polski. Stan, w jakim zastał kraj, był fatalny” (Patrycja Ksyk-Gąsiorowska w: *Piastowie. Leksykon biograficzny*, Kraków 1999). „Henryk III (...) udzielił wygnanemu Kazimie-

rzowi pomocy, która umożliwiła mu powrót do kraju zapewne już w końcu 1039 r.” (Tadeusz Manteuffel w: *Zarys historii Polski*. Warszawa 1979). „Nie wiadomo kiedy ruszył” Kazimierz do Polski; zaopatrzony przez Henryka III w oddział, złożony z 500 rycerzy» (Benedykt Zientara w: *Poczet królów i książąt polskich*, Warszawa 1980). „Przy pomocy zbrojnej Henryka III odzyskał Kazimierz w 1039 władzę w Wielkopolsce i Małopolsce”. (Jan Tyszkiewicz w: *Encyklopedia historii Polski – dzieje polityczne*, Warszawa 1994). „Nowy król niemiecki Henryk III (1017-1056) zaniepokojony wzmocnieniem Czech pomógł Kazimierzowi I w powrocie do Polski (przekazał mu 500 rycerzy). Młodego księcia poparli również krewni matki Rychyzy (córci Erenfrieda Ezzona, palatyna reńskiego, i Matyldy, córki cesarza Ottona II – LS). Kazimierz stłumił anarchię i przywrócił w kraju porządek.” (Jerzy Serowiec i Halina Niemiec, *Dzieje Polski w datach*, Warszawa 2005). „Na przełomie 1038/1039 lub w 1039 r., po wcześniejszym pobycie na Węgrzech i w Niemczech, złożeniu hołdu cesarzowi Konradowi II i otrzymaniu od niego pomocy w postaci 500 rycerzy, Kazimierz wrócił do kraju. Kraj pogrążony był w chaosie wewnętrznym.” (Józef Dobosz w: *Słownik władców polskich*, Poznań 1997). Cytaty można mnożyć bez końca. Mniejsza z tym, czy udzielił pomocy Kazimierzowi Konrad II, czy Henryk III (nieublagana chronologia wskazuje, że to raczej Józef Dobosz jest w błędzie). Mniejsza też o to, jaki był skład narodowościowy owej pięćsetki rycerzy, która wsparła Kazimierza (jedna jedyna w całej historiozofii polskiej, i bez żadnych podstaw źródłowych, Patrycja Ksyk-Gąsiorowska odnajduje między nimi Polaków). Pewni, lub prawie pewni możemy być tylko dwóch rzeczy: że rycerzy było około pięciuset i że opłacił ich niemiecki władca. Innymi słowy państwowość polska (a przynajmniej ciągłość owej państwowości) oraz chrześcijaństwo (a przynajmniej jego ciągłość w Polsce) w dziwnych latach 1037-1040 ocalone zostało przez zbrojną pomoc niemiecką. Tyle że tego komentarza nie znajdziemy w żadnym z polskich podręczników. Dowiemy się z nich, owszem, że Bolesław Chrobry spotkał się roku tysięcznego w Gnieźnie z Ottonem III. Spotkać się – brzmi to jak kolega z kolegą, czy szef państwa z szefem państwa innego. Komentarza, że spotkał się podwładny z przełożonym (które to przełożenie poddany w pełni uznawał), nie spotkamy już w żadnych podręcznikach szkolnych, nigdzie, poza napisanymi w języku dziesięciu zaklęć specjalistycznych, erudycyjnych pracach dla wybranych. Natomiast mityczna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent historia nieszczęsnych dzieci glogowskich (1109) weszła do kanonu opowieści narodowych – sam pisałem o tej bohaterskiej legendzie obowiązkowe wypracowanie, gdyż tutaj akurat komentarz, jednoznaczny komentarz, musi już być obecny. W Polsce owa „tradycja” służy petryfikowaniu modelu męczeńskiego narodu ściśniętego w cęgach między Rosją

(tu dopiero manipulatorzy mogą sobie poszaleć!) i Niemcami. Wystarczy jednak dłuższa w czasie zmiana wektorów politycznych i tradycja też się zmienia. Inne będą bajki i inne, co genetycznie zabawne, będą Polacy prawdy „wysysać z krwią matek”.

W 1983 ukazała się nakładem wydawnictwa uniwersyteckiego Cambridge i przetłumaczona dotąd na kilkadziesiąt języków, czy na polski – nie wiem, praca pod redakcją Erica Hobsbawma i Terence’a Rangera *The Invention of Tradition* [Wynalezienie (albo 'wynajdywanie') tradycji]. Parę słów o autorach. Eric Hobsbawm uchodzi za jednego z największych współczesnych historyków idei, a jego *Narody i nacjonalizmy* od 1980 są dziełem, bez odniesienia się do którego żaden amerykański czy angielski student nauk humanistycznych nie może liczyć na zaliczenie magisterium. Terence Ranger jest z kolei antropologiem, afrykanistą, którego zasługi, a to już właściwie więcej, niż można powiedzieć, uznali oficjalnie i Claude Lévi-Strauss, i Georges Dumézil. Współpracowali też przy *The Invention of Tradition* między innymi: Hugh Trevor-Roper, autor *Catholics, Anglicans and Puritans*, David Cannadine, specjalista od dziejów i genealogii arystokracji angielskiej, czy Bernard S. Cohen, który odważył się poruszyć jakże delikatną kwestię stosunków hindusko-angielskich w sposób zupełnie inny, niż podejmowała go literatura wiktoriańska. Powołuję się, co doprawdy nie jest w moim zwyczaju, na te autorytety, żeby uprzytomnić znaczenie samego tytułu. Staralem się pokazać, jak dalece zmanipulowana jest „tradycja” francuska, dorzucając nieśmiało półtora przykładu z historii polskiej. Hobsbawm i Ranger podjęli się czegoś nieskończenie bardziej patetycznego. Udowodnili oto, że „tradycja” angielska, kraju, gdzie tradycja jest świętością i reguluje zasady postępowania, jest również elementem „gry wychowawczej”, która w danej epoce miała wychować obywatela, który ginąłby za Anglię, tak mu się miało wydawać, z patriotycznym i dżentelmeńskim oddaniem, nie zdając sobie sprawy, że swoją śmiercią uprawomocnia tylko mit. „Wynajdywanie tradycji” dotyczy oczywiście nie tylko Europejczyków i nie tylko grup narodowościowych. Zawsze jednak, oprócz eksponowania jednych (zreinterpretowanych pozytywnie) faktów kosztem innych, przemilczanych, wzmiankowanych bez komentarza lub zreinterpretowanych negatywnie, towarzyszy wynajdowaniu tradycji generalizacja grupowa. Weźmy na przykład zdanie: „W 1863 roku Polacy powstali przeciw zaborcom”. Otóż nie przeciw „zaborcom”, ale tylko jednemu z nich. Nie „Polacy”, ale drobna ich część, podczas gdy znacznie większa część miała do powstania stosunek negatywny, lub wręcz, jak część chłopów, czynnie przeciw niemu występowała. To już nie jest brak historycznej precyzji, ale właśnie całkowita, stronnicza reinterpretacja dla bieżącego użytku. „Naród polski przeciwstawiał się

komunistom”. Pomińmy już użytkowanie słowa „komuniści”, mającego bardziej charakter inwektywy, nie słowa opisującego rzeczywistość ustrojową. Ale „naród polski”? – Co zrobić wówczas z trzema milionami członków PZPR (wraz z rodzinami to już 12-15 milionów) i z następnymi milionami, które sobie po prostu żyły, zadowolone, że mają pracę i mogą uprawiać ogródek. Fałsz staje się jeszcze jaskrawszy, kiedy pojęcia „naród”, „patriotyzm”, przerzucać zaczynamy w czasy, kiedy one zgoła nie istniały lub miały radykalnie inne znaczenie. Czym jest „naród francuski” podczas Wielkiej Rewolucji? – Czy obejmuje on „emigrantów”? A Wandejczyków? A mieszczan lyońskich? A panią Marie-Fontaine Harel, która ukrywała opornego (*réfractaire*) księdza, który z wdzięczności wymyślił dla niej formułę sera Camambert bardziej dziś popularnego symbolu Francji niż Robespierre i gilotyna? Takie niuanse nie zaprzatają jednak ideologów, a historia do bieżącego użytku, tradycją też zwana, nie jest przecież niczym innym niż ideologią właśnie. Manipulacja ideologiczna nie musi operować fałszem w dosłownym słowa znaczeniu. Zestawmy dwa zdania: „W PRL istniała cenzura” i „W 1968 *Dziady* Mickiewicza zostały zdjęte z afisza Teatru Narodowego”. Każde z osobna jest prawdziwe. Razem wywołują one jednak wrażenie, co potwierdzają sondaże (ponad 50% urodzonych po 1985 jest o tym przekonanych), że twórczość klasyków romantyzmu była w PRL cenzurowana i zakazywana. „Robespierre był zwolennikiem terroru”. „Ofiarą terroru padli zaatakowani przez Robespierre’a Danton i jego zwolennicy”. Znowu oba stwierdzenia obiektywnie odpowiadają rzeczywistości. Czy jednak słyszący je może się domyślić, że Danton i jego zwolennicy byli właśnie promotorami i ideologami terroru? Nieporozumieniem byłoby jednak systematyczne doszukiwanie się manipulacji. O wiele częściej winne „wynajdywania” tradycji są powielane przez środki masowego przekazu (ongis przez pieśń dziadowską, trubadurów i „wieść gminną”) stereotypy.

Dlaczego Zawisza Czarny był „czarny”. Od razu pojawia się, poświadczane przez ikonografię (m.in. Januarego Suchodolskiego „Bitwa pod Grunwaldem”, Michała Byliny „Zawisza Czarny i Jan Aragoński potykają się na turnieju rycerskim”, ilustracje Michała Borucińskiego i Włodzimierza Tetmajera do *Zawiszy Czarnego* Kazimierza Przerwy-Tetmajera, rycina Corsiego *Zawisza Czarny* etc.), wyobrażenie wojownika w czarnej zbroi, na czarnym, potężnym koniu. Tymczasem Zawisza był „Czarny” z tego najprawdopodobniej najprostszego powodu, że był brunetem, co zresztą wydaje się rodzinne, bo jego brat to Piotr Kruczek, a więc również czarnowłosy. Inny Zawisza, stryj słynnego kardynała Zbigniewa Oleśnickiego (1389–1455), to z kolei Zawisza Czerwony. Czerwony, tym razem wiemy to na pewno, gdyż był rudy. „Mamy wprawdzie mało świadectw, jak się ubierał Zawisza –

pisze Anna Klubówna (*Zawisza Czarny w historii i legendzie*, Warszawa 1974), ale na przykład na soborze w Konstancji wystąpił w czasie okazałej uroczystości strojn timer, bardzo barwnie i przybrany w jakieś pióra, a w owej nieszczęsnej bitwie pod Golabcem w 1428 roku, gdzie poległ, miał na sobie zbroję błyszczącą (jasną – LS”). Dlaczego pomijać te świadectwa, a stwarzać wizję bez pokrycia? Zaraz odpowiemy dlaczego. Na razie ze smutkiem przyznać musimy, że Anna Klubówna mało draży ów wątek „jakichś piór”, w które przybrany jest Zawisza Czarny na soborze. Opowiada oto Karol Szajnocha (*Jadwiga i Jagiełło*, Warszawa 1974): „Upodobawszy sobie, dalej, hełmowe ozdoby, czyli z niemiecka ‘klejnoty’ rycerstwa zachodniego, przybrali wielmoże rycerscy do swych dawnych herbów podobne hełmu i oznaki na hełmie i nazwali te zmienione tak herby z cudzoziemską klejnotami, a siebie samych klejnotnikami. Widząc, jak zazdrośnie rycerstwo zachodnie przywłaszczyło sobie zaszczyt noszenia sukien czerwonych, postroili się rycerze polscy w także szaty szkarłatne, pierwowzór późniejszej karmazynowej oznaki starożytnego szlachectwa. (...) Względnie do uchwał synodów starodawnych, wzbraniających długim, utrefionym kędziom przystępu do kościołów i zgodnie z odpowiednim temu zwyczajem, podgalała albo podstrzygała rycerska szlachta polska włosy nad czołem (...) Jak pasowanym rycerzom zachodnim, tak i rycerskiemu panu polskiemu wisiał u szyi do późnych czasów złoty z kosztowną spinką



Włodzimierza Tetmajera ilustracja do *Zawiszy Czarnego* Kazimierza Przerwy-Tetmajera.

łańcuszek i tkwił na palcu sygnet herbowy, nieodzowne znamiona dostojnego szlachectwa”. Szajnocha wielce jest delikatny. Spinka... łańcuszek..., a obok trubadurzy liryczne wznoszące tony. Najsłynniejszy z trubadurów środkowego średniowiecza to Wilhelm z Akwitanii (1071-1127). Píše o nim Richard Barber (*Rycerze i rycerskość*, Warszawa 2000): „Poematy Wilhelma, jak też utwory innych trubadurów, tworzących we wczesnym okresie rozwoju tej poezji, zawierają wiele niespodzianek, zwłaszcza gdy oczekuje się tylko dworskich i uprzejmych słów czy wyrażen. Pierwsza grupa poematów Wilhelma to utwory raczej obsceniczne, które pewnie powstały dla urozmaicenia czasu spędzanego z przyjaciółmi na picu i zabawie, tak jak w satyrze Peire’a d’Auvergne (1150-1200 – LS): ‘dla głosu trąb, pośród zabawy i śmiechu’. Stosunek do kobiet jest nawet grubiański, język sprośny, punkt widzenia czysto męski. Są to raczej fantazje erotyczne związane z fizjologią i ciałem...”. Richard Barber chciałby to uważać za wyjątek. Niestety, przeczytajmy choćby *Sirventes* Peire Vidala (1171-1205), a znajdziemy tam obscenę, które i dzisiaj wydałyby się nam szokujące. Rycerze zresztą nie ograniczali się bynajmniej do spiniki i łańcuszka. Nie dość, że malowali włosy „pasmami na różne kolory” (Leon Gautier, *La Chevalerie* Paris 1959), malowali również powieki, rzęsy i (sic!) zęby! Rycerz z Burgundii Armand de La Clozuet zasłynął tym, że miał zęby w dwunastu kolorach, skomponowane tak, „iż czerwone widać było tylko po bokach, z przodu zaś zielonymi i białymi świecił, które jego dziedziny barwy wyznaczyły”. Tutaj drobny żal mamy do Anny Klubówny, że nie wglębiła się w owe pióra Zawiszy Czarnego. Na pewno też musiały coś znaczyć. Na jaki kolor miał zaś Zawisza umalowane włosy i zęby, tego niestety, w braku źródeł stwierdzić na pewno nie możemy. Jedno jest pewne, że za wzór dla harcerzy nadaje się szczególnie. „Polegać jak na Zawiszy” – to także jest zdanie, którego sens nie do końca jest jasny. – Julian Ursyn Niemcewicz, który wprowadził je do tradycji (właśnie!) polskiej, pisał:

„Zawisza Czarny, gdyż z tego imienia
Znany był później u świata,
W ciężkiej kolczudze, nie tknąwszy strzemięcia,
Lekko wskoczył na bachmata
I gdy wesoło wśród szranków pisał,
Wywijał mieczem, kopiją potrzasał.
Wkrótce się wslawił czyny walecznymi
I tak śmiałość/ jego znano,
Że w Niemczech, Włoszech i tureckiej ziemi,
Kiedy kogo wychwalano,
Przysłowiem było bojów towarzyszy
Polegać na nim jakby na Zawiszy”.

Nie bardzo tu wiadomo, w czym owo poleganie „na Zawiszy” ma się przejawiać. Jeśli chodzi o prawdo-

mówność? – Aubri le Bourgoing stwierdza i podaje drastyczne przykłady, że obowiązkiem wasala było popieranie swego seniora nawet w sprawach moralnie dyskwalifikujących. Chodziłoby więc tylko o ślepe posłuszeństwo? – I ono rozumiane było w czasach rycerskich zupełnie inaczej niż dzisiaj, a niż w regulaminach harcerskich w szczególności. Dużo bliżej był już Juliusz Słowacki:

„Będą się kładły wezglowia,
A po nim oprócz przysłowia
Smętnego, co długo się słyszy:
Polegaj jak na Zawiszy,
Więcej nic... nic nie zostanie”.

Bo też rzeczywiście zostaje tylko przysłowie, przy tym wyrwane z kontekstu i nie do końca wiadomo, o czym nam mówiące. „Przysłowia sobie przeczą? – Dlatego właśnie są mądrością narodów” – pisał Stanisław Jerzy Lec. Warto jednak zwrócić uwagę, że wyrwanie z kontekstu jest niezbywalnym warunkiem tworzenia „tradycji”. Harcerski rycerz, czy będzie nim Zawisza Czarny, czy Lis z Targowiska, czy Zyndram z Maszkowic, nie może być, kim być musiał: uperfumowanym i umakijazowanym rzeźnikiem-zapaśnikiem. Piast, gdyby istniał realnie, musiałby zapewne być poddanym cesarza Rzeszy, ale być takim nie może. Po co jednak wnikać w aż tak odległe dzieje. Józef Piłsudski nie mógł być socjalistycznym bojówkarzem. To też jest nie do pomyślenia. Organizując tradycję, musimy więc przepisywać historię (o tym już była mowa) lub przyzwolić na ignorancję. To drugie jest o tyle proste, że wyobrażeniami zbiorowymi rządzą nie uczeni (z których też drobna tylko część zadaje sobie pytania o realność rzeczy), ale media i ustanawiająca tradycję propaganda. Częściej jeszcze przypadek. W tradycji polskiej za postać wielką, która nawet ma być ponoć kanonizowana, uchodzi Romuald Traugutt. Nie wiem, czy można znaleźć lepszy przykład, w którym obowiązująca hagiografia tak bardzo oddalałaby się od rzetelnej biografii. Tak się oto składa, że karierę wojskową i szybkie awanse zyskał Romuald Traugutt, tłumiąc powstanie węgierskie w 1848 (walczył więc przeciw innemu naszemu bohaterowi narodowemu – Józefowi Bemowi) i podczas wojny krymskiej. Objąwszy przywództwo powstania styczniowego w październiku 1863, a więc w momencie, gdy wszystko było już definitywnie przegrane, wydawał rozkazy niemające się, nijak do rzeczywistości i, przy ich rzetelnej lekturze (której, zważywszy okoliczności, nie warto poświęcać uwagi), całkowicie go ośmieszające jako polityka i stratega. Dlaczego wszedł więc do narodowego panteonu? – Właśnie dlatego. Powstanie 1863 było od samego początku polityczną i militarną nedoręcznością. Analizując więc poczynania starających się ratować cokolwiek z tego, co uratowane być nie mogło, natrafiamy zawsze i w sposób nieunikniony na polityczne nieudacz-

nictwo i śmieszności. Nie dotyczy to tylko człowieka, który władzę przejął w momencie, w którym politykowanie było już tylko zupełnym pozorem, więc i rozliczanie jego efektów nie ma najmniejszego sensu, po paru miesiącach został ujęty i stracony, co zapewniło mu majestat męczeństwa. Tym razem mamy więc do czynienia ze swoistą ironią tradycji. Nie do końca jednak. Owa ironia (która nie jest nią w pamięci społecznej) aż prosi się bowiem o wykorzystanie. Wyrwany z kontekstu historycznego Traugutt może stać się więc symbolem niepodległościowym (co na to Węgrzy?), antyrosyjskim (był wprawdzie oficerem rosyjskim, ale przeszedł na drugą stronę), wreszcie katolickim, gdyż osobiście, szczególnie w ostatnich miesiącach życia, miał być bardzo praktykujący. Czegoż więcej dla „tradycji” potrzeba? Podobnie dziwnych, czy dziwniejszych przypadków (Traugutt rzeczywiście stracił życie w patetyczny sposób) można znaleźć ogromne ilości w pamięci wszelkich grup społecznych, etnicznych etc. O czym to świadczy? – O podwójnym: mitycznym i utylitarnym charakterze tradycji, który powoduje (znów wracamy do Rolanda Barthesa), że nie jest ona tworem „zastanym”, „wyssanym z mlekiem matek”, ale wręcz przeciwnie: przywłaszczając sobie ów atrybut „odwieczności” podlega w rzeczywistości ciągłym zmianom wynikającym zarówno z przemian społecznych w grupach odwołujących się do niej, jak też z manipulacji czy zwykłych pomyłek.



Włodzimierza Tetmajera ilustracja do Zawiszy Czarnego
Kazimierza Przerwy-Tetmajera.